

MAŁY ŚWIĄTEK

Rok 42.

Kraków, 1. września 1929 r.

Nr. 1.

PISMO ILUSTROWANE DLA STARSZEJ DZIATWY.

Już wakacyj minął czas...



BIBLIOTEKA WYDZIAŁU
Pedagogiki i Psychologii - Uniwersytetu w Białymstoku



WPP0004655

*Już wakacyj minął czas,
Szkolny dzwonek woła nas,
Idźmy żwawo w Imię Boże
Z dobrą wolą, jak kto może,
Pracy nadszedł czas!
Nabiegaliśmy się już
Wśród płowych zbóż.
Już wakacyj minął czas,
Dzwonek woła nas.
Złotem słońcem opaleni
Jak małe cygany
Oto się schodzimy znowu
W naszej szkoły ściany*

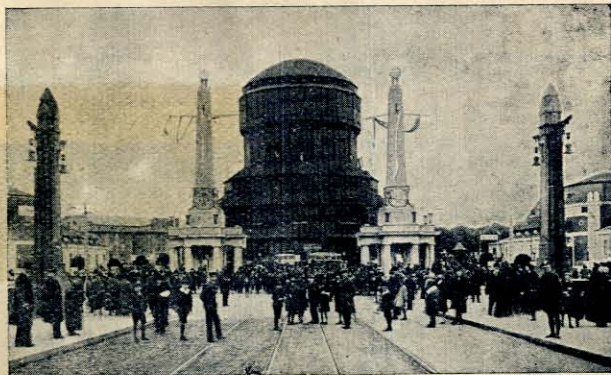
*Kiedy umysł żwawy, zdrowy
Łatwiej idą lekcje w głowy.
Szkoły nadszedł czas!
Na wysiłki naszej pracy
Czeka Bóg na niebie,
Czekają rodacy,
Czeka w domu zakrzątana
Nasza matka ukochana,
Przez długie godziny
Czekająca, kochająca,
Sama siebie pytająca:
Jakże się też uczy w szkole
Ten jej syn jedyny!*

S. M. T.

PRZYGODY JURKA NA POWSZECH. WYSTAWIE KRAJOWEJ.

Jurek w czasie podróży do Poznania widział dużo ciekawych rzeczy. Przez okna wagonu migały mu pola, wsie, miasta, dworce kolejowe. Przejeżdżał nawet przez Środę i cieszył się bardzo, że w czwartek jest we Środzie.

Pomimo to teraz zapomniał na chwilę, że to nieładnie, jak duży dwunastoletni chłopak stoi z otwartą buzią i w podziwie otworzył szeroko i buzię i oczy.



Wejście na Powsz. Kraj. Wystawę w Poznaniu.

dla. Dookoła tego gmachu ciągnęły się kremowe domki. W słońcu szedł od nich taki blask, że Jurek przymknął otwarte w podziwie oczy. Za oczyma zamknęła się samodzielnie i buzia. Tatusz z kupionymi biletami podszedł do mamusi, ujął ją pod rękę i prowadził na wystawę. Jurek z Haneczką postępowali naprzód.

Jurek uważnie przysłuchiwał się rozmowie rodziców. Tatusz tłumaczył mamusi, że ten wielki, ciemny gmach, do którego podążali, to jest Wieża Górnoszląska. Była ona wybudowana jeszcze przed tą straszną wojną, w której tatusz brał udział, na jakąś wystawę, którą urządzali Niemcy w Poznaniu.

— Te wszystkie pawilony, mówił tatusz, pokazując na wesołe kremowe domy, są wybudowane teraz. Te dwa pawilony po obu stronach to są pawilony państwowe. Ten po prawej stronie Wieży Górnoszląskiej to jest pawilon elektrotechniczny, ten po lewej...

W tej chwili jakiś straszny, przepiękny głos zawołał:

— Halo! Halo!

Za tym wykrzyknikiem popłynął potężny huk dalszych słów, z których Jurek pochwyił tylko niektóre jak to: fala, cygara, najlepsze wina, stan pogody i t. p.

Stał z mamusią i Haneczką pod bramą. Po bokach bramy wznosiły się dwie wysokie kolumny. W tych kolumnach znajdowały się kasy. Tatusz właśnie podszedł do jednej z nich i kupował bilety.

A za bramą wznosił się wielki, dziwny gmach. Ciemny był i brzydki, ale niepodobny był ani do wieży, ani do domu, ani do ron-

Jurek nie mógł się zorientować skąd dochodził głos. Oglądał się na wszystkie strony, spojrzął wreszcie na tatusia i zauważył, że ten krzyczy coś z wielkim natężeniem do mamusi, wskazując jej coś na Wieży. Spojrzawszy w tę stronę, Jurek zauważył wyginające się nad nim wielkie czarne głośniki radja.

Przy huku radja weszli do Wieży. Tatusz objaśniał widocznie coś mamusi, bo krzyczał do niej, pokazując jej jakieś maszyny. Mamusia wzięła Haneczkę za rękę. Jurek przysunął się do tatusia, ale nie mając nadziei dosłyszenia jego słów zaczął się rozglądać na wszystkie strony. Uwagę jego przyciągnęły rowery, a przeszedłszy kawałek dalej zauważył śliczną łódź motorową. Widział kiedyś podobną na Wiśle pod Krakowem, ale ta była dużo piękniejsza. Tak się zajął jej oglądaniem, że ani spostrzegł, że stracił rodziców z oczu.

Obejrawszy łódź, chciał o niej opowiedzieć tatusiowi, ale nie mógł go dostrzec. Trochę tem zaniepokojony, Jurek obszedł szybko Wieżę Górnoszląską. Zatrzymał się tylko na chwilę przy samochodach, potem przy wagach. Gdy przechodził obok wyjścia, mignęło mu popielate ubranie — takie miał tatusz. Jurek pędem wybiegł z wieży, a ubranie znikło u wejścia do sąsiedniego pawilonu. Chłopiec wszedł tam również, dopadł i pociągnął za połę popielatego ubrania jakiegoś pana, który odwrócił do niego okrągłą, czerwoną i spoconą twarz. Jurek, nawet nie przeprosiwszy, dał nura w głąb pawilonu. Rozejrzał się.

O dziwo! Stał w pośrodku wielkiego malowniczego miasta. Łagodne wzgórza usiane były domami. Wśród nich piętrzyły się wielkie gmachy, wystrzelały w górę smukłe wieże kościołów. Oczy jego uderzył znajomy widok.

— Co to jest? — zapytał sam siebie. — Ach to święty Jur — to miasto to jest Lwów. A tam — tam kopiec Unji lubelskiej — a tam katedra, tu Wysoki Zamek.

— Ach, mamusiu! chce zawołać Jurek. Przypomina sobie bowiem, że mamusia urodziła się we Lwowie i bardzo kocha to miasto. Taka śliczna panorama Lwowa, tak miło byłoby oglądać razem.

Koło wyjścia mignął mu błękitny kapelus, taki sam jak miała mamusia, Jurek poszedł w tę stronę. Wyszedł z pawilonu, ale nie dojrzał rodziców. Wydało mu się, że z pewnością musieli się udać teraz do pawilonu elektrotechnicznego, gdyż dojrzał tam coś błękitnego. Przy samym wstępie do tego pawilonu powitały go dźwięki radja. Nie zatrzymał się jednak. Wszedł do wewnątrz i zwabiony został przez dziwny trzask. Podszedł bliżej i zobaczył dwie olbrzymie kule.



Tereny wschodnie.

4/18/87
24 23 88 LWP

między którymi z trzaskiem przeskakiwały wielkie iskry. Jurek przystanął w zdumieniu. Koło kul zatrzymała się właśnie jakaś wycieczka szkolna i jakiś pan tłumaczył chłopcom w wieku Jurka, że to jest maszyna wytwarzająca elektryczność.

— Ta iskra, przeskakująca z jednej kuli do drugiej, to jest iskra elektryczna — wykladał nauczyciel.

Jurek sobie przypominał, że pioruny też są iskrami elektrycznymi. I gdzieś jeszcze widział iskry elektryczne... Ale gdzie? Aha, jak mamusia się cesała, to z grzebieńa czasem sypały się iskry, a mamusia mówiła, że to elektryczność.

Wycieczka ruszyła dalej. Jurek rozejrzał się, czy nie zobaczy gdzie rodziców, lecz nie dojrawszy nigdzie nawet nikogo do nich podobnego, ruszył za wycieczką. Na samym końcu wycieczki szedł duży, czternastoletni może chłopak. Obejrzał się raz i drugi na idącego za wycieczką Jurka. Jurek zbliżył się do niego. Szli teraz obaj milcząc, zerkając tylko na siebie od czasu do czasu. Przy aparatach do radjo zatrzymali się obaj jednomyślnie.

— Ot, takie mieć — westchnął chłopak, spoglądając na wielki wygięty głośnik — toby się człek nasłuchał...

— U nas jest takie radjo ze słuchawkami — pośpieszył dodać Jurek.

I chłopcy zaczęli ożywioną rozmowę o radjo. Jurek, który w domu pomagał tatusiowi przy zakładaniu anteny, teraz dzielił się swymi wiadomościami z chłopcem. Tak się zagadali, że ani zauważyli, jak wycieczka znikła im z oczu.

— Gdzież oni polezli — rozejrzał się towarzysz Jurka.

— Zdaje mi się, że poszli w tamtą stronę.

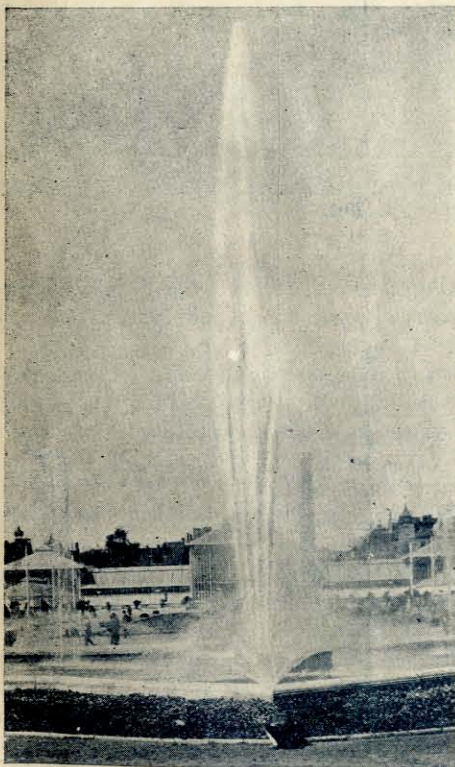
— To chodźmy. A twoja wycieczka gdzie? — pytał chłopak Jurka.

— Przyjechałem z rodzicami.

— Ja też patrzę, żeś taki paniczek. A gdzie rodzice?

— Gdzieś na wystawie. Zgubiłem ich i nie mogę znaleźć.

Chłopak spojrział uważnie w zafrasowaną twarz Jurka.



Wodotrysk wielki na Wystawie.

— No, nie turbuj się — rzekł tonem starszego brata — znajdziemy ich. Ja ci pomogę. Jak się nazywasz?

— Jerzy Wiliński. A ty?

— Stanisław Derkacz — rzekł prostując się jak przed profesorem chłopak. — A ty gdzie mieszkasz w Poznaniu?

— U pani Rodyjskiej. Wiesz, strasznie jest gruba, ale ma gramofon.

— No dobrze, ale na jakiej ulicy i pod którym numerem.

— Oj nie pamiętam, taka szeroka ulica, wysadzana drzewami.

— Masz! — potępiająco odezwał się Staszek — toć w Poznaniu prawie wszystkie ulice są szerokie i wysadzone drzewami.

— Prawda — zasepił się Jurek — ale może ich na wystawie znajde.

— No to chodźmy!

I poszli. Po drodze Jurek zatroszczył się o to, jak Stach znajdzie swoją wycieczkę, lecz Stach miał adres domu noclegowego, w którym się zatrzymała jego wycieczka, zresztą wycieczkę nie tak trudno znaleźć jak rodziców.

— O, chodźmy tam, — zawołał Jurek, stając przed rzęście oświetlonem wejściem do jakiejś niewielkiej salki.

— „Tomaszowska fabryka sztucznego jedwabiu“ — przeczytał Stach. — Phi! nic ciekawego.

Pomimo to weszli. Zwróciwszy się na prawo dostrzegli jakąś dziwną maszynę. Na wysokości ramion Jurka znajdował się rząd maleńkich buteleczek napełnionych cieczą. Z buteleczek tych sączyły się cieniuteńkie niteczki. W górze niteczki łączyły się po kilka w jedną, skręcały się ze sobą i zwiły na szpulkę.

— Coś takiego! — wykrzyknął Stach. — Ciekawym, co jest w tych buteleczkach.

— To celuloza — uprzejmie objaśniła im znajdująca się w pawilonie panienska. — Z niej wytwarzają się nici jedwabne, a tam dalej jest warsztat tkacki. Chłopcy obejrzeni z ciekawością warsztat podziękowali uprzejmie panience i poszli dalej. Szybko przebiegli pawilon włókienniczy, wpadli do olbrzymiej sali reprezentacyjnej. Przeszli przez mocno pachnący pawilon kosmetyczny, w zdumieniu zatrzymali się w pawilonie skórnicy przed wielką śnieżną płaszczysznią. Na niej stały sanie zaprzężone w dwa psy i eskimos.

— Widzisz go, jak to się ubrał — mruknął krytycznie Stach.

— Słuchaj — a te psy to tak samo prędko biegają jak konie?

— Chyba tak. A te sanie, hm — przydałyby się i w naszej bur-sie w zimie.

— To ty nie mieszkasz z rodzicami? — zdziwił się Jurek. Dziwnem mu się zdało, żeby chłopak niewiele starszy od niego mieszkał bez opieki rodziców.

— Jakżeż mogę mieszkać z nimi, kiedy oboje już dawno nie żyją. Jurek spojrział na towarzysza. Błękitne oczy Stacha tak jakoś dziwnie patrzyły, jakby nic nie dostrzegały przed sobą. Przez chwilę Stach wydał się Jurkowi małym, biednym, bezradnym dzieckiem. Ju-

rek poczuł się bardzo silnym i bardzo bogatym w życiu, bo miał i tatusia i mamusię. Chciał powiedzieć Stachowi jakieś dobre słowo, ale Stach już znowu był dawnym niefrasobliwym Stachem. Klepnął Jurka po ramieniu.

— Chodź no, cóż się tak gapisz.

c. d. n.

A. Szarska.



„Wesołe Miasteczko“ na Wystawie jest miejscem uciśszych zabaw dla dzieci.



BOGATY JESTEM...

*Bogaty jestem... o złoto nie stoję,
gdziekolwiek spojrzę, tam królestwo moje!
Dla mnie te drzewa u strumienia rosną,
i pieśń mi szumią, podniosłą, radosną,
dla mnie ten strumień pieni się w kotlinie,
srebrna szarotka kwitnie na wyżynie.
Dla mnie w noc letnią, wszystkie pachną kwiaty!
Jakżem bogaty! O! Jakżem bogaty!
A tam, nad głową, lampy gwiazd srebrzyste,
kazałeś dla mnie rozpalic o Chryste,
bym cichą, jasną, księżycową nocą,
poznał się z Twojem władaniem, z Twą mocą,
by duch mój ukląkł przed Tobą w zachwycie,
Przed Tobą, Który stworzyłeś Wszechżycie!
Bym patrząc w one niezmiernie światy,
był jeszcze wiarą, tęsknotą bogaty.*

Marja Czeska-Mączyńska.

TRZY DNI W TATRACH.

W końcu lipca wybraliśmy się całą naszą kolonją, razem z panem nauczycielem na 3 dni w Tatry. Już tydzień przed tem mówiliśmy tylko ko tej wycieczce i pan nauczyciel dwa razy jak deszcz padał przygotowywał nas do wycieczki. Mówił, że Tatry wyglądają zupełnie inaczej niż te Karpaty, w których lato spędzamy; nie są takie okrągłe, kopiaiste. Opowiadał, że Tatry nie są duże na długość, bo jakby zmierzyć w prostej linii z zachodu na wschód to mają tylko 52 kilometry; ale, że tyle jest rozgałęzień grzbietów górskich, że razem 1000 klm. kw. zajmują. Mówił też, że się rozróżnia na wschodzie niższe Tatry Bielskie, pośrodku Tatry Wysokie z Gierlachem, najwyższym szczytem, bo ma 2.663 m., Łomnicą i jeszcze innemi szczytami, których nie spamiętałem. Są jeszcze Tatry Zachodnie. Ale najładniejsze są Tatry Wysokie, bo granitowe i dzikie. I dużo jeszcze mówił pan nauczyciel, ale mi to wywietrzało z głowy przez wycieczkę, a potem to już to pamiętam, co widziałem, czego napewno nie zapomnę, bo takie piękne i bo postanowiliśmy sobie ze Staszkiem, że jak tylko pierwsze pieniądze zarobimy, to już nie za tatusiowe, ale za własne pieniądze urządzimy sobie frajdę w Tatrach. Już teraz się cieszę na to i będę się dobrze uczył, żeby móc prędzej zarabiać.

Ale teraz już będę się pisał, jak to było z wycieczką. W drodze, kiedy przed Nowym Targiem Tatry się ukazały, takie niebieskie z oddalenia, to już ledwieśmy się mogli doczekać Zakopanego. A tu jeszcze godzina najpierw wśród lasów i torfowisk kotliny nowotarskiej, takiej gładkiej jak stół, a potem, kiedy się zaczęło pod górę, to drugą maszynę do pociągu przystawili i jeszcze, choć obie bardzo głośno sapaty, jechaliśmy powoli, aż myślałem, że chyba nogi mi się skręca z niecierpliwości. Staszek to tylko biegał od okna z prawej strony do okna na lewo i ciągle wołał, że widać Tatry, choć to wszyscy widzieli, a pan nauczyciel nie mógł nadażyć odpowiadać, gdzie, jaki szczyt i po pięć razy chyba musiał nam powtarzać. Ależ on zna Tatry! Pewno je bardzo kocha, bo mówił, że już dużo razy w nich był.

Na stacji, która ma biały dworzec, wyskakiwaliśmy na wyścigi, aż nas plecaki po grzbiecie tłukły, zwłaszcza gdy kto szklanek do wnętrza, a nie w kieszonkę na wierzchu włożył. Nic a nic nam się spać nie chciało, choć wstaliśmy tego dnia przed czwartą. Przed stacją dorożkarze górale nie bardzo nas zapraszali do powozów, widzieli, że my do marszu, nie do jazdy. Poszliśmy na ulicę Nowotarską, a każdy zamiast pod nogi, to na Giewont patrzył. Prawdziwy śpiący rycerz! Choć śpi, pilnuje Zakopanego. Na Nowotarskiej, w budynku Szkoły Powszechnej były zamówione puste klasy na nocleg. Złożyliśmy tam koce, nawet jeść nie chcieliśmy, bo nam żal było czasu, ale pan nauczyciel kazał gaździnie, żonie stróża szkolnego, dać gorącej wody i mleka i musieliśmy zjeść porządnie.

„W górach trzeba mieć dużo sił do spaceru, nie tak jak w parku miejskim“ — mówił pan nauczyciel.

I jeszcze trzeba było nogi łożem kozłowym smarować, żeby się nie poraniły od marszu. Jędrak tylko, co to się gdzieś zawieruszył nie nasmarował nóg, drugiego dnia tylko zęby ścisnął, żeby nie pokazać jak go bola pęcherze i odciski.

O 10 rano wyszliśmy na Halę Gąsienicową. Najpierw przez główną ulicę Zakopanego, Krupówki; jest przy niej ładny kościół parafjalny na wysokości podmurowaniu z terasem, są różne sklepy, jest i muzeum tatrzańskie, ale cała ulica niebardzo wspaniała. Na jej końcu jest pomnik doktora Tytusa Chałubińskiego. Pan nauczyciel mówił, że jeszcze nie tak dawno o Zakopanem w Polsce mało kto wiedział, dopiero doktor Chałubiński koło 1870 roku poznał się na tem, jakie tu powietrze dobre dla chorych na płuca i jakie dobre miejsce do wymarszu na wycieczki w góry. Zaczęto się więc zjeżdżać, z początku aż z Krakowa końmi w dwa dni, potem stanęła kolej do Chałubki i już tylko jeden dzień końmi się jechało, a kiedy linję kolei aż do Zakopanego doprowadzono w r. 1899 (nie wiem czym dobrze spamiętał) dopiero się goście zaczęli zjeżdżać i chorzy i zdrowi.



W Kuźnicach jest też szkoła żeńska
gospodarcza.

Od Krupówek poszliśmy piękną drogą, prowadzącą do Kuźnic. Przy drodze były różne wille, był kamieniołom, ale nie mieliśmy czasu się przyglądać, jak skały rozsadzali. Dalej śliczna droga wysadzana dużymi drzewami. Idąc równym marszem, wkrótce byliśmy w Kuźnicach. Znaleźliśmy tam koło drogi trochę żużli. Pan nauczyciel mówił, że to żużle z hut, w których tu wytapiano wydobywane na miejscu rudy i że stąd pochodzi nazwa Kuźnice.

Jaka ta nasza Polska bogata! co rusz, to gdzieś ma

rudy, węgiel, naftę, sól. Bardzo lubię się o tem uczyć i potem sobie na mapie szukam, gdzie są te miejsca. To tak jakby moje bogactwa.

W Kuźnicach jest potok, Bystra, naprawdę bystry. Szumi i pieni się, spływając z góry po kamieniach. Chcieliśmy się z niego napić, ale pan nauczyciel mówił, że na wycieczce nie powinno się pić wody.

Zaraz za mostem na Bystrej poszliśmy na lewo i pięliśmy się na górę Boczań, okrytą częścią lasem, a częścią zrębami, a potem ciągle zlekka pod górę szliśmy zboczem. Widziałem stąd skocznię narciarzy i Giewont z przeciwnej strony niż przedtem, ale co mi się najbardziej podobało, to widok na Dolinę Jaworzynkę. Miałem ochotę zejść na samiutki brzeg tej góry, którąśmy szli nad urwisko, żeby stamtąd spojrzeć prosto w dół głęboko, głęboko pod nami. Krowy na

dole wyglądały jak malutkie plamki. Ale teraz jeszcze zimno mi się robi na wspomnienie tego, jak wtedy Jędrak, roztrzepaniec, wszedł na brzeg skałek wapiennych i tuż koło niego urwał się kawał skały i runął w przepaść, a Jędrak tylko zzieleniał z wrażenia i zaraz wtył skoczył. Że też on nie wiedział, że wapień to nie granit, nie można mu ufać!

Po drodze znajdowaliśmy kwitnące właśnie tojadę, bardzo ładne; miały ciemno granatowe hełmy, pod którymi chowały głęboko swe miodniki. Pan nauczyciel zwrócił nam na to uwagę. Ze strony przeciwnej od Doliny Jaworzynki góra nasza zapadała się także w dolinę, ale nie tak stromą, to też zbocze porośnięte było trawą i właśnie pasło się tam stado owiec. Potem przeszliśmy przełęczą na wysokości 1505 metrów koło Kopy Królowej i wtedy zatrzymaliśmy się. Przed nami był rozległy widok na Tatry Wysokie: Żółta Turnia, Granaty, Kozi Wierch, Kościelec, Świnica i inne jeszcze, dotąd to widzę. Teraz zrozumiałem, dlaczego pan nauczyciel wybrał Halę Gąsienicową na pierwszy dzień; z niej można się dobrze rozpoznać w sporej części Tatr.

Pić nam się chciało, zeszliśmy więc trochę niżej wśród zielonej trawy do schroniska gazdów, gdzie dostaliśmy, co kto chciał: słodkiego albo żętycy, t. j. mleka owczego. Dużo to kosztowało. Ponieważ już było po drugiej, nie mogliśmy długo odpoczywać, bo trzeba było iść do Czarnego Stawu Gąsienicowego. Schodziliśmy ścieżką wykładaną kamieniami, po bokach ścieżki stały zabudowania górali i owce w zagrodach tak gęsto stłoczone, że miałem ochotę przejść się po ich grzbietach z jednego na drugi. Beczało to towarzystwo, jak to one, a kundle owczarskie drzymały sobie na jedno oko. Na dole schronisko duże, ładne z szarego granitu, zbudowane przez Towarzystwo Tatrzańskie.

Skacząc po głazach uścielających dolinę, wśród których widniały kępy borówczysk, jakichś traw i zarośli kosówki, doszliśmy pod Kościelec. Sterczy on jak szpic ciemny wysoko nad drogą. Pan nauczyciel mówił, że tu zginął w lawinie śnieżnej Karłowicz. Jest tu nawet tablica na jego pamiątkę.

Z oddali spostrzegliśmy cały szereg ludzi, siedzących na wale



Czarny staw w Tatrach.
Malował K. Kłosowski w Zakopanem.

przed Czarnym Stawem. Myślałem, że to skauci, bo ubrani byli na zielono i zdaleka na małych wyglądali, ale kiedyśmy się zbliżyli, przekonałem się, że to oddział wojska. Siedzieli oblani potem, z twarzami spalonymi górskim słońcem. Obok stały karabiny i leżały tornistry. Żal mi ich było. Pan nauczyciel mówił, że to specjalne oddziały wojska, które się składają przeważnie z górali. Ćwiczą się oni w marszach po górach, bo w razie wojny może to być potrzebne: przecież przez Tatry idzie granica czecho-słowacka. Muszą to być ludzie zdrowi, mający mocne serca, bo takie marsze nie każdyby wytrzymał. Gdyśmy byli nad Czarnym Stawem, żołnierze pieli się już znowu gęsiego, stromą ścieżką między górami, z bronią na ramieniu.

Czarny Staw! Z trzech stron otaczają go ciemne poszarpane grzbiety, a między górami schodzą aż wdół języki ze śniegu. Woda jest ciemna, czarnusienka. Staw nie wydaje się wielki, ale dopiero z tego, jak mali byli dwaj ludzie, stojący na przeciwnym brzegu, przekonaliśmy się, że jest duży. Ma 600 m. długości, a 50 głębokości. Położony jest na wysokości 1620 m. Na kilka minut zrobiło się ciemno od chmur, a nas obleciało od wody chłodem i jakąś powagą, tak że nawet Wojtuś-gaduła zmiłkł. Patrzyliśmy długo, jakby każdy chciał zabrać ze sobą te cudności, ale było późno i pan nauczyciel nakazał odwrót.

Znów zaczął się marsz drogą, po której trzeba było więcej skakać niż iść. Słońce było już niżej i góry stawały się ciemniejsze, tylko Żółta Turnia jeszcze była jasna, pewnie dlatego, że nad górną granicą lasu, rośnie tam trawa. Tym razem nie zatrzymaliśmy się już na mleko, bo i czasu i pieniędzy było nam szkoda. Odwrót był tą samą drogą, ale przy zachodzie góry wyglądały teraz inaczej. Nie wiem kiedy były piękniejsze.

C. d. n.

I. M.



DO PRACY!..

Opadły już

płateczki z róz,

więc słuchaj, dziecię moje!

z świtaniem zórz

książeczki złóż

i w szkolne śpiesz podwoje.

Tam — znajdziesz to,

co duszę Twą

ozdobi w blaski cnoty —

i myślom twym

w rozmachu tym

podniebne wskaże loty!...

E. K.



S. p. FAŁAT.

Za każdym jasnym, promiennym dniem nadchodzi szara godzina zmierzchu i pomału w czerń nocy wsiąka. I życie ludzkie z promiennego rozkwitu lat dojrzałych ku mrokom starości się pochyla, aż przejdzie w wieczną noc śmierci.

Oto ubył znowu jeden dobry, wielki człowiek z grona tych ludzi, którzy umieją czynić i pokazywać piękno.

Umarł Juljan Fałat znakomity sławny malarz polski. Był to jeden z tej nielicznej dziś garstki Polaków, którzy krzewili i podtrzymywali ducha narodowego w latach niewoli. Fałata nie skusiły ani pieniądze ani zaszczyty, które chciał go obsypać dwór cesarski w Wiedniu... wzgardził złotem i wrócił do biednej uciemnionej Polski, gdzie stanął w szeregach walczących o niepodległość.

Jako malarz mało miał równych sobie; specjalnością jego było malowanie „Akwarela” t. j. wodną farbą, tą samą, którą wy tak lubicie i używacie — farbą w „guziczkach”. Z tych to skromnych „guziczków” wyczarowywał Fałat na papierze cuda... z pod pędzla jego wyrastały piękne krajobrazy z każdej pory roku, a już najwspanialsze — krajobrazy zimowe, na które patrząc miało się wrażenie, że mroz szczypie w nosy i uszy, a śniegi są tak puszyste, że aż proszą by w ręce nagarnąć...

Od r. 1895—1911 był dyrektorem Ak. Sztuk Pięknych w Krakowie. Zasłużył się on wielce tej uczelni, przeprowadził w niej wiele ulepszeń, był bardzo szanowany i kochany przez uczni. Potem osiadł w swojej majątności w Bystrej i mimo sędziwego wieku nie ustawał w pracy do ostatniego dnia życia.

Fałat był to człowiek kryształowego ducha i wielkiego serca. Kochał wszystkich i wszystko; wielbił i miłował Boga, że tak piękny świat stworzył, miłował ludzi i pomagał im w każdej potrzebie, kochał was, dzieci — wierząc, że rośnięcie na chwałę i pociechę Ojczyzny.

Życie Fałata było jedną wielką miłością i pracą, a praca ta zostaje między nami i mówić będzie o tym, który już odszedł, ale we wdzięcznych wspomnieniach zostanie na zawsze.



B. Świtycz.

Wylew rzeki, obraz, malowany przez Fałata.

ROBOTY JESIENNE W POLU.

Jesień to okres roku równie pracowity dla rolnika jak wiosna. Jest to okres może nawet radośniejszy; na wiosnę bowiem oracz i siewca myśleć musi nieraz, czy jego praca nie pójdzie na marne, czy ziół susza nie wypali, deszcze i grad nie wyniszczą. W jesieni zaś zbiera on z radością plon swych całorocznych trudów.

To też na polach rojno i gwarno: gdzie niedzie zwożą jeszcze resztki zboża lub kopią ziemniaki. Wszędzie widać oraczy pokładających ścierniska, by przygotować je pod zasiewy. Pokład jest to bardzo płytka orka: ma ona przewrócić zwierzchnią warstwę ziemi, a wtedy pozostała na ściernisku słoma i chwasty dostają się na spód i gnijąc, użyźniają ziemię, jakby naturalny nawóz.

W jesieni sieje się tak zwane zboża ozime: wschodzą one jeszcze przed zimą, jako małe roślinki śpią pod śniegowym przykryciem, by na wiosnę energicznie znów wziąć się do wzrostu.

Rozmaite rośliny pobierają z ziemi różne składniki: jedne więcej tych inne tamtych — tak jak to różne dzieci — jednym taka, drugim inna potrawa bardziej smakuje. Dlatego rolnik musi stosować t. zw. płodozmian, to znaczy znając gusta roślin — zasiewać je jedne po drugich w takim następstwie, żeby każda roślina miała jak najwięcej tego, co lubi i czego potrzebuje. Tak naprzykład dobrze jest siać pszenicę po ziemniakach, bo one mają różne gusta co do jedzenia, więc ziemniak zostawia dla pszenicy to, co jej dogadza. Pszenica lubi także ziemię dobrze uprawioną, a wiemy wszyscy że ziemniak, to roślina okopowa, dobrze się przy nim ziemią naprzewraca. Niektóre rośliny lubią specjalnie ugory, t. zn. takie pola, których przez długi czas nie uprawiano. W jesieni więc, stosownie do płodozmianu albo się orze i uprawia pola, albo się je zostawia na wiosenne zasiewy. Ale i pod wiosenny zasiew trzeba już w jesieni trochę przygotować: trzeba wywieźć na pola nawóz i przeorać go, żeby przez zimę mógł się lepiej rozłożyć i użyźnić ziemię. Prócz robót w polu dobry gospodarz pamięta o zabezpieczeniu na zimę: ogląda budynki, czy nie trzeba czegoś naprawić. Opatrzuje stajnie, obory, przygotowuje zapasy paszy dla bydła.

Przygotowuje się pracowicie na zimowy spoczynek, by z pierwszym dniem wiosny z nowym zapasem sił zabrać się do pracy.

„Januszek“.



ANTEK i STACH — MŻU i DŻU.

Był wrześnieowy poranek.

Antek pędził do szkoły, jak huragan. Miał do tego więcej niż ważne powody. Przedewszystkiem na wieży kościelnej wskazówka zegara przybierała coraz bardziej położenie pionowe, a powtóre w zeszycie Antka była jedna strona pusta, na której miał jeszcze wpisać dwa zadania rachunkowe.

Na zakręcie ulicy grzmotnął ktoś Antka w plecy, ale on ani się nie obejrzał, tylko machnął ręką poza siebie i pędził dalej.

— Antek!

Antek poznał głos Stacha, choć już przedtem poczuł jego rękę na sobie.

— Antek! — wołał Stach — Daj mi zadania rachunkowe!

— A bo ja mam! Ale co? Ty też nie masz?

Stach odburknął coś na odczepnego, bo zdjęło go przerażenie. Co powie ojciec, gdy się dowie, że on z lenistwa nie odrobił zadań? A już przecież nie zdąży przepisać...

Antek pędził też z niewesołymi myślami. Za minutę ósma. Dopadnie jeszcze ławki przed dzwonek — to prawda. Ale ten rok cały miał być pracą na uczczenie dziesięciolecia niepodległości Polski — ładnie pracuje.

Równy z dzwonek wpadli chłopcy do klasy. Na katedrze przywitał ich stary znajomy: „Murzynek-Skarbonka“, który za każdym otrzymanym groszakiem kiwał głową na podziękowanie.

Antek rozpakował gorączkowo książki, a w myśli przeleciało mu piorunem.

— O gdybym był murzynek, nie potrzebowałbym się uczyć...

* * *

Spiekota była straszna.

Dżab podniósł do czoła strzępy drukowanej książki, aby choć w ten sposób przysporzyć oczom upragnionego cienia.

Nagle poczuł na ramieniu dłoń przyjaciela.

— Dżab.

— Mżu.

Powitali się serdecznie. Obaj szli do tej samej szkoły, na katechizację do Ojca Jakóba.

Rozpalony piasek prażył ich czarne stopy, a nieubłagane promienie słoneczne gorącym ostrzem dotykały ich czarnej jak heban skóry.

— Słuchaj, Dżab, Ojciec mówił mi wczoraj, że podob-

no pan konsul Leed niezadowolony z naszej szkoły.

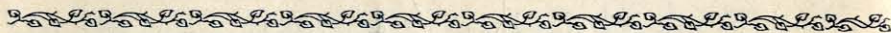
Dżab otarł ręką pot z czoła.

— Mżu. Przecież nie mogę już więcej się uczyć.

Mżu zerwał dwa liście z przydrożnego krzewu i przez nie uchwycił nadpoczone okładki zeszytów.



Murzyńska szkoła rzemiosł w Chikuni (w Afryce).



MATKO NAJŚWIĘTSZA

W TYM NOWYM ROKU SZKOLNYM
BŁOGOSŁAW MI!

Postanowienie: Codziennie przed pójściem do szkoły pomodłę się do Matki Boskiej, prosząc o szczególną Jej opiekę i zastanowię się co mam dziś zrobić żeby czas dobrze wykorzystać.

Uważać będę, aby w tym roku nie zniszczyć książek do nauki nabytych. Gdy w następnej klasie nie będą mi już potrzebne, to je pošlę, prawie jak nowe, biednym polskim dzieciom za granicą.

— Widzisz, Dżab, ale jak pan konsul sprzeciwi się, powie, że nic nie umiemy, to...

— Chrzest... — westchnął Dżab.

Szli dalej w milczeniu.

Nagle Dżab pochwycił Mżu za rękę, a jego oczy zabłyły radością.

— Wiem.

Mżu stanął nagle, a złoty piasek zakrył mu czarne stopy.

— Mów!

— Módlmy się, żebyśmy mogli tak się uczyć, jak się uczą dzieci północy. Pan Jezus wszystko może.

— Gdybyśmy mogli uczyć się na północy... — westchnął Mżu.

— Módlmy się — powtórzył Dżab i pierwszy klęknął na rozpalonym piasku.

— Panie Boże — zaczął Dżab z przejęciem — Panie Boże, daj, żeby Mżu i Dżab i inne dzieci murzyńskie mogły się tak uczyć, jak dzieci północy...

— Jak chce pan konsul Leed....

— Chociaż nie mamy książek....

— Chociaż daleko do szkoły....

— Tak, jak dzieci północy — kończył Dżab z przejęciem.

A. Crucy.



OD REDAKCJI.

Po miłych wakacjach, znów w murach szkoły „Mały Światek“ wita swych Czytelników! Jakże się mamy? — Buzie zdrowe, minki wesołe, więc — rażno do pracy!

Wszak byliście na Wystawie w Poznaniu, prawda? a jeśli kto nie był, to czytał o niej, lub słyszał co opowiadano, ile to wspaniałości nagromadziła skrzętna praca narodu całego. Jeżeli teraz wysiłki narodu dobrze się przedstawiły, to później musi być jeszcze lepiej. Zacznijmy teraz nowy okres pracy. Każdy w swym dziale, w swej szkole, w swem najbliższem zadaniu niech zrobi wszystko co może jak najlepiej.

Za miłe listy „Mały Światek“ serdecznie wszystkim Czytelnikom i Czytelniczkom dziękuje. Nie odpisuję każdemu osobno, bo, stosownie do obietnicy, zostawiam w tym numerze miejsce na prace dzieci, które odpowiedziały na pytania, postawione w czerwcowym numerze „Małego Światka“. Umieszczamy poniżej prace najlepsze z tych, które w oznaczonym terminie nadesłano.

Dla tych, którzy jeszcze nie zdążyli napisać, oraz dla nowych prenumeratorów przesuujemy termin do 14-go września i w numerze październikowym umieścimy wypracowania dzieci, które odpowiedzą na jedno lub kilka z następujących pytań:

1. Co zajmującego widziałeś i czego nauczyłeś się na P. W. K.?

2. Czy zajmowałeś się w czasie wakacyj jakimi zwierzętami i co o nich ciekawego napisać możesz?

3. Jakim pracom ludzkim przyjrzałeś się w czasie wakacyj?

4. Jak się ubiera lud wiejski w tych stronach, gdzie spędzałeś wakacje? Co tam ludzie robią, żeby w nich było ładnie, w kościołach, domach, jakie ozdoby w mieszkaniach zauważyłeś?

To, co chcecie żeby wydrukowano musi być starannie napisane na osobnych kartkach — a nie w liście do redakcji — i przed 14 września b. r.

Zarząd półkolonji na Ludwinowie składa Czytelnikom „Małego Światka“ serdeczne „Bóg zapłać“ za ich ofiary, dzięki którym czworo dzieci w czasie tych wakacyj z tych kolonij korzystało.



JAK TO NA WYCIECZCE ŁADNIE...

Dnia 6 czerwca b. r. szkoła nasza urządziła wycieczkę do kamieniołomów bazaltu w Berestowcu. Rano o godzinie pół do szóstej chłopcy klasy piątej i szóstej zebrali się na dziedzińcu szkolnym, gwarząc po cichu o zapowiadającej się dobrze wycieczce. Słońce już z rana zaczęło przypiekać. Powietrze, po nocnej burzy, było czyste jak łąza, gdzie niegdzie tylko kałuże odbijały sklepienie niebieskie, a gdy się w nie spojrzało, zdawało się, że głębokość jest w nich bezdenna. Brzozy, rosące obok szkoły, puszczały w dal aromatyczną woń. Godzina szósta. Dzwonek. Chłopcy rozbiegli się do klas, a dzie-

dziniec zrobił się znowu pusty i cichy, tylko z klas dochodziły wesole rozmowy. Wszedł do klasy p. nauczyciel i w klasie zapanowała cisza. Gdy skończyli modlitwę, wybiegli na dziedziniec i znowu te same wesole rozmowy i śmiechy.

— „Baczość!” rozległ się głos jednego z panów nauczycieli. Chłopcy stanęli jak struny wyprężeni. — „W dwu szeregu zbiórka! Za mną, marsz! Ruszyliśmy w drogę z pieśnią na ustach. Przeszliśmy obok dworca kolejowego i weszli do lasu. W lesie cisza i spokój. Chłopcy rozmawiali po cichu, jakby nie chcieli zamącić ciszy. Od czasu do czasu wrona zakrakawała, a z drzewa na drzewo skoczyła wiewiórka, strącając z sosen szyszki, które z szelestem padały na ziemię. Słońce przedzierało się przez konary drzew, przyglądając się zielonemu całunowi lasu. Tutaj rozpościerał się swobodny mech i prosty, potem nieco wyższe jagodziewie, mające dopiero zielone jagódki, a ponad wszystkim górowały dzwonki i żółte lilje, które rosły na bagnach. Gdzie niegdzie widać było stare drzewa powalone, przypominające swym wyglądem ruiny. Droga leśna skończyła się, weszliśmy na leśną ścieżynę, potem szliśmy przez bagna ciesząc się pogodą i hukając po lesie jedni na drugich. W końcu lasu ukazała się osada Zofijówka. W Zofijówce zostaliśmy mile powitani przez właścicielkę, która nam pokazała dziewięcioro młodych lisiał, złapanych w norze przez gajowego. Po krótkim odpoczynku w Zofijówce ruszyliśmy w dalszą drogę. W koło rozciągały się łąki, łąny zbożowe i ugory. Na łąkach i ugorach pasterze paśli bydło i przyspiewywali, albo grali na fujarkach. Zdała było już widać zarysy fabryki, wiatraków i chat Berestowca. Niedaleko Berestowca płynął strumyk, tam też urządzono odpoczynek. Nad strumykiem kobiety, tak zwane „Muzyczki” bielily płótno na słońcu. Nic zajmującego więcej nie było jak strój; na głowie biała chustka, na niej druga różnokolorowa z frendzlami, które są opuszczone wtył, a trzecia chustka służy do zawiązywania twarzy od szyi, aż po usta. Długie, aż po kostki spodnie, jaskrawe, ozdobione różnymi wyszywaniem i wstążkami. Jedne są boso, a inne mają na nogach łapcie, zrobione z łyka, a przywiązane do nóg sznurkami. Obok kobiet bawiła się gromadka dzieci brudnych i w płóciennych ubrankach. Mężczyźni noszą białe spodnie, czarne, zielone lub czerwone bluzki, a na nogach łapcie.

Odpoczynek nasz skończył się. Skierowaliśmy się w stronę kopalni, zdała dochodziło do nas stukanie młotków i kilofów. Wszliśmy na plac kopalni, wszędzie jak okiem sięgnąć kamień i kamień. — Od dyrektora kopalni dowiedzieliśmy się, że przyjechał geolog z Krakowa i może nam wyjaśnić wszystko czego nie rozumiemy.

Kopalnia w Berestowcu nie jest jeszcze dokładnie zbadana, a na zbadanie jej potrzeba mieć dobry kapitał. Bazalt jest poszukiwany w całej Polsce. Służy do brukowania ulic, budowania budynków i t. p. W roku 1927 została odkryta kopalnia granitu w Janowej Dolinie, 8 km. od Berestowca. (wycieczkę do tej kopalni opiszę później). W roku 1928—1929 została zbudowana kolej Kostopol—Janowa Do-

lina. Kopalnia w Berestowcu istnieje już 63 lata i zatrudnia kilkaset robotników, którzy zarabiają dziennie 8 do 12 złotych. — Praca ta jest uciążliwa i niebezpieczna. — Oglądaliśmy także lamalnię, tłocznię i wiele innych ciekawych rzeczy. Po dokładnem oglądnięciu wszystkiego ruszyliśmy w powrotną drogę. Przechodząc przez wieś zobaczyliśmy w karczmie kilku robotników, którzy napracowawszy się przepijali ciężko zarobiony grosz. W osadzie Zofijówce zrobiono nam miłą niespodziankę. Stoły w altanie były pełne pożywienia, a właścicielka p. Rogolińska zapraszała zwyczajem staropolskim w gościnę. Zmęczeni chłopcy zaczęli tak szybko jeść, że ja i mój kolega, Wójcik, nie mogliśmy nadażyć rozdawać. Po pożywieniu chłopcy wysłali kilku kolegów, ażeby ci podziękowali za gościnę, a sami porozkładali się i zaczęli odpoczywać. O godzinie pół do czwartej ruszyliśmy przez las w powrotną drogę. O godzinie szóstej byliśmy wszyscy w Kostopolu, a niektórzy na ostatniem nabożeństwie oktawy Bożego Ciała.

S. Bartczak.

Kl. VI. szk. powsz. w Kostopolu.



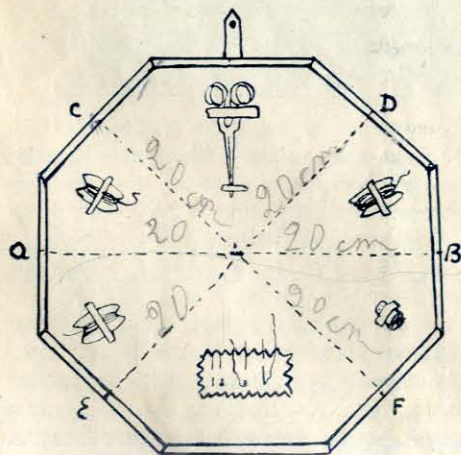
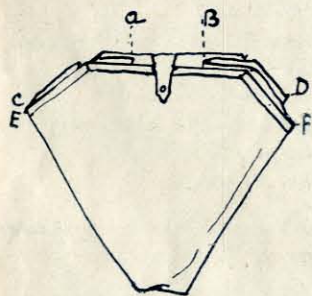
Najmłodsi przyjaciele „Małego Świątka”: Szkoła powszechna i ochronka w Rybniku.

NASZA WYCIECZKA DO ŻUKOWA.

Dnia 8 czerwca Gimnazjum nasze urządziło wycieczkę do Żukowa. Jest to wieś leżąca za Kartuzami. Niektórzy z nas jechali pociągiem, inni na rowerach, ja byłem między tymi ostatnimi. Wyjechaliśmy z Kościerzyny o godzinie 8-ej rano. — Pogoda sprzyjała nam przez całą podróż. Po kilku przygodach przybyliśmy do Kartuz,

skąd po krótkim odpoczynku, wyjechaliśmy do Dzierżązna i dalej do przepięknego miejsca, zwanego „Babi dół“, a wreszcie do celu naszej wycieczki, czyli do Żukowa. Tutaj spotkaliśmy się z kolegami, którzy przyjechali pociągiem. Po kilkogodzinnym odpoczynku udaliśmy się do prastarego kościółka, w którym znajdują się cenne zabytki z dawnych czasów. Ze strony cmentarza jest tam w murach kościoła żelazna krata, a za nią otwór, prowadzący w głąb ziemi. Tam widać kości ludzkie. W przedsionku kościółka znajduje się figura Pana Jezusa ukrzyżowanego, która robi wrażenie, jak gdyby Pan Jezus był jeszcze żywy. W samym kościółku wszystkie ołtarze i obrazy są artystycznie rzeźbione. Kościół ten posiada skarbiec, w którym m. in. znajduje się płaszcz Mestwina II, księcia pomorskiego, wykonany z czarnego jedwabiu. Oprócz tego są tam stare ornaty, które są bardzo ciężkie. Są one przetykane złotem i innymi drogiemi materiałami, z tego powodu ornaty te są bardzo grube. Z żalem opuściliśmy ten kościółek pełen drogich pamiątek i udaliśmy się na stację kolejową, aby odjechać do Kościerzynie.

Władysław Schulta.
II. kl. gimn. w Kościerzynie.



Torebka na przybory do szycia, bardzo przydatna w czasie wycieczek. Wyciąć kawałek ceraty według załączonego wzoru, powiększając go 4 razy, tak żeby linja A—B wynosiła 20 cm. Zagiąć brzegi na 0·5 cm. Wyciąć taki sam kawałek podszewki kolorowej. Zagiąć brzegi na 0·6 cm. Oba kawałki złożyć razem zagiętymi brzegami do środka. Przyfastrygować, a następnie przyszyć drobnymi ściegami (najlepiej na maszynie). Z gumki czarnej lub kolorowej na 1·5 cm. szerokiej uciąć paski 5 cm. długie i przyszyć je tak, jak widać na rysunku, aby za nie można było założyć nożyczki, naporstek i motki nici. Przyszyć kawałek flaneli (długość 5 cm., szerokość 4 cm.) na wpinanie igieł i szpilek. Do jednego boku torebki przyszyć kawałek gumki (5cm. długiej) : zatrzaśkiem na końcu. Na boku przeciwnym, od strony zewnętrznej przyszyć drugą połowę zatrzaśku. Torebkę złożyć jak wskazane na rysunku. Zatrzaśk zamknąć — i robota gotowa.

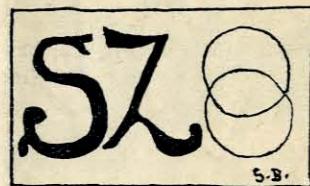
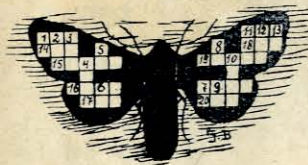
ŁAMIGŁÓWKI.

KRZYŻÓWKA „MOTYL“
(uł. Stefan Bartczak z Kostopola).

Poziomo: 1. Rzeka wpadająca do morza Czarnego. 7. Zwierzę domowe. 11. Dopływ Wołgi. 14. Zaimek. 15. Ogół wojska. 16. Brat patriarchy Jakóba. 17. Przysiółek. 18. Moneta włoska. 19. Upał letni. 20. Papuga.

Pionowo: 1. Nuta. 2. Zaimek. 3. Rzeka w Polsce. 4. Rzeka we Francji. 5. Wykrzyknik. 6. Nuta (wstecz). 7. Spółgłoska. 8. Dopływ Kamy (Kama jest dopływem Wołgi). 9. Po francusku złoto. 10. Naczynie. 11. Zdrobniałe imię żeńskie. 12. Oznaka żałoby. 13. Miara powierzchni.

Rebus.



Kwadrat magiczny.

R	m	r	o
m	d	o	m
r	o	k	

Wpisać trzy słowa tak, by można je odczytać pionowo i poziomo.

1. Inaczej gut.
2. Część nogi
3. Okres czasu.

Szarada.

Pierwsze wspan, to piękny ptak,
Drugie wspan, powiem tak;
To zaimek osobowy.
A zaś wszystko do budowy
Bywa używane,
Z wodą pomieszane.

Uwaga: Za rozwiązanie każdej z tych zagadek liczymy po 1 punkcie.

**Rozwiązanie łamigłówek: Powiastka w obrazkach.
O parasolu, Stasiu i Józii.**

(Ułożyła Józefa Wilandówna, ucz. kl. IV ze Skawiny).

Pewnego razu, kiedy Staś i Józia, siedząc na ławce, czytali książkę, wszedł do pokoju dziadzio, i postawiwszy pod ścianą parasol, wyszedł. Dzieci zostały książkę na ławce, Staś doszedł do parasola, a Józia pilnowała, czy dziadzio nie wraca. Staś chwycił parasol za rączkę, Józia za koniec i wyszli na przechadzkę. Słońce świeciło jasno. Dzieci szły pod parasolem z wielką paradą. Nagle Staś spostrzegł, że chmura ciemna zasłania słońce i poczuł, że wielka kropla spadła mu na nos. Wkrótce zaczął padać rześisty deszcz, porwał się silny wichur, który wygiął i potargał parasol, bo dzieci nie umiały go utrzymać. Dzieci zawróciły do domu z wielkim smutkiem, gdyż wiedziały, że dziadzio nie daruje im takiego nieposłuszeństwa. Stanęli przed drzwiami zmoczeni, aż dziadzio ich zawołał do pokoju i tam swoją wielką ręką wymierzył im karę, dodając, że nie trzeba ruszać tego, co do nich nie należy.

ROZMOWA KRASNOLUDKÓW.



J. Leascharle

— Powiadam wam, dziw na dziwy! Gazetka z obrazkami, z wierszykami, z powiastkami, z artykułami, z których możesz czegoś nauczyć się tak, jakbyś lekcji słuchał, z łamigłówkami, no, już nie wiem z czem — i wszystko za 20 groszy, a więc mniej niż za znaczek pocztowy na list!

— Nie może być!

— Może, kiedy jest.

Można nawet od razu posłać 2 zł. i już przez

cały rok będzie się otrzymywało co miesiąc nowy numer bez żadnej dopłaty za przesyłkę pocztową.

— Zdziwiałe!!! Ale gdzie to jest?

— W Krakowie przy ul. Starowiślnej 11.

— A jak się nazywa ta gazetka?

— No przecież już każdy się domyślił, że to „Mały Światek“.

Dla siebie już go zamówiłem, ale idę jeszcze namówić znajomych, bo mi w redakcji powiedziano, że kto przyprowadzi 10 nowych prenumeratorów, to otrzyma jeden abonament gratis. Muszę się więc spieszyć, bo jeszcze gotowi się rozmyśleć.

Wam też radzę nie marudzić. Tylko zapamiętajcie dobrze adres: Kraków, ul. Starowiślna 11. I wyraźnie napiszcie, że chcecie otrzymać „Mały Światek“, bo tam mają też inne pismo: „Dziś i Jutro“, także bardzo ładne, ale dla mnie trochę za poważne. Dobrze raczej dla tych mądrali z gimnazjum. Wołę tymczasem „Mały Światek“. Chcę koniecznie zdobyć kilka dziesiątek nowych prenumeratorów i wszystkie gratisowo otrzymane egzemplarze będę posyłał niezamężnym dzieciom polskim za granicą.

PRENUMERATA roczna — 2 zł., kwartalna — 60 gr, cena pojed. egzemplarza — 20 gr. — Przy nadsyłaniu kwoty mniejszej niż 2 zł. należy dodać 5 gr. na porto.

Adres redakcji i administracji: Kraków, ul. Starowiślna 11.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro“ Nr. 404.930.

„Dziś i Jutro“ — miesięcznik dla młodzieży żeńskiej — prenumerata roczna — 8 zł. Egzemplarze okazowe wysyła się bezpłatnie. — Adres: Kraków, ul. Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Julja Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie, ul. Tad. Kościuszki 3.